Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 31. Poznań, dnia 2. Sierpnia. **1841.**

Literatura zagraniczna.

Die bedingte Preßfreiheit, historisch-kritisch entwickelt u. beleuchtet von Theodor Heinsius. Berlin 1841.

Imie autora znane jest w piśmiennictwie niemieckiém nie tylko w zawodzie językowych badań (Teut, oder Lehrbuch der gesammten deutschen Sprachwissenschaft. 5 Bände. 1825—28.) ale i w badaniach żywotnich pytań spólecznego życia (Verhältniß der Moralität zur Intelligenz in der Pädagogik unserer Zeit. Glogau, 1835.). Z tego drugiego rodzaju prac jego literackich jest pisemko świeżo wyszłe, z napisem na wstępie przytoczonym. Przy schyłku pracowitego zawodu i nauczycielskiego i pisarskiego, któremu się od lat blisko pięćdziesięciu już poświęca, przy schyłku może dni pochylonego już żywota swojego, występuje tu autor w zadaniu, po nasze czasy najważniejszém.

Rzecz o wolności druku jest właściwie zadaniem polityczném; ale tak ściśle z literaturą połączoném, że kiedy jéj wzrost lub upadek od rozwiązania jego zależy, nie podziwimy się, że zsiwiały na zasługach literat, już jedną nogą w grobie stojący, dzień przed śmiercią jeszcze temu zadaniu poświęca. Odmłodzony kraj pod nowym rządem, zabrzmiał mu i podźwięczył miłą wieścią wolności pisanego słowa, zniesienia a przynajmniéj ograniczenia cenzury, a zaprowadzenia ustaw warunkowéj wolności druku. Na tę wieść uradował się duch zasłużonego pisarza, i zebrał jeszcze raz siły swoje, aby pójść w pomoc spodziewanym swobodom; marzących o bezwarunkowéj wolności powściągnąć, a rząd oświecić, jak kładąc tamę nadużyciom, nie kłaść tamy postępowi i oświecie.

Że tu autor przedsięwziął sobie brać rzeczy bezstronnie, zeznaje w przedmowie swojéj, na podobieństwo, jak Karpiński w wierszu swoim, powrót z Warszawy na wieś: „nikomum źle nie czynił, ani mnie nikt dobrze“; w końcu na swój siwy włos zapewnia.

Wszakże nic nam tu nowego autor nie przynosi, nad to, co już wielokrotnie i po sejmach konstytucyjnych narodów, po pismach światłych polityków, po sprawozdaniach oświeconych mężów stanu, do zbytku wywiedzionem było. Książka tę jednak ma zasługę, że celniejsze za wolnością druku świadectwa zestawia i porównywa.

Na początku, co zkąd inąd też wiadomo (Rottek i Welker), daje nam autor krótki historyczny rys ograniczeń wolności druku czyli cenzury. Leo X. papież w 75 lat po wynalezieniu druku wydał bullę 1515. r. nakazującą wszystkim biskupom i inkwizytorom, przed wytłoczeniem przeglądać wszystkie rękopisy i zapobiedz szerzeniu się zdań karcerskich. Czyli już wcześniéj za Alexandra VI. (1492—1503.) czyli wcale za Sixtusa IV. (1471—1484.) instytucya cenzury zaprowadzoną została, niewiadomo; ale to pewna, że była najprzód ustawą duchowieństwa przeciw pismom karcerskim. Nadto obwieszczony był spis książek zakazanych po wszystkich krajach. Książe Alba dla Niderlandów podobny wygotować kazał *index expurgatorius*. Najkrótszéj drogi chwycił się Franciszek I. król francuzki, bo 1535. pod karą szubienicy, drukować książki w krajach swoich zakazał.

Anglia dopiero 1695. r. dobrała się wolności druku. W Hollandyi i w Szwajcaryi najłagodniejsze bywały cenzury. To ją znoszono, to zaprowadzano w Francyi i w Szwecyi. Od 1814. r. w państwach związku niemieckiego rozciąga się cenzura na wszystkie pisma niżéj 20 arkuszy, niektóre tylko korporacye uczone z niéj wyjęte.

Zakaz wprowadzania książek i pism zagranicznych i surowe miejscowe kary, z konfiskatą połączone, na przekraczających wolność druku, są obok cenzury równym hamulcem rozpowszechniania oświaty przez druk.

Atoli gdzie się prze tam się trze, i w umysłowym nie tylko w fizycznym świecie, zapór rodzi odpór, ucisk reakcyą. *Despotischer Druck der Zeit und der Regierung führt, wie die Geschichte von Anbeginn zeugt,*

endlich auch den ruhigen Bürger zur Reaction und Opposition, da ihm nichts weiter übrig bleibt, als sein gutes Recht zu schützen. Auch der gebildetste Mann weiss sich eher im Kerker zu trösten, als die Fesseln der Denkfreiheit ruhig zu ertragen (str. 11). Taką śmiałą prawdę wypowiada autor.

Reakcya ta sprawiła, że druk z odpornego stanowiska przeszedł w stanowisko zaczepne, i w ostatnich dziesiątkach lat dziennikarstwo stało się silną bronią opinii, nieraz rządowi straszną. Lubo z drugiéj strony nie zawsze interes prawdy i dobra ogólnego, ale częstokroć intryga, przedajność, schlebianie partyi i massom, kierowała piórem dziennikarza. Przeciwko takiemu więc użytkowi druku, podającemu kroki i działania rządowe na publiczne roztrząsanie, obwarowały się rządy cenzurą i prawami karnémi, które będąc rozciągnione na wszystkie płody umysłowe, ile są drukowane, tamować musiały postęp i oświatę.

Zarzucićby można autorowi, że w rozdziale V., gdzie mówi o warunkowéj wolności druku, żadnéj nie kładzie zasady, z któréjby wynikła potrzeba owarunkowania, i rodzaj warunków wolności druku. Powiada nam tylko krótko, że nieograniczona wolność druku jest urojeniem, i że rządy konstytucyjne Europy nigdy innéj, tylko warunkową rozumiały wolność. Powiada daléj, że wolność druku, jak wolność mówienia, są tylko różnémi postaciami wolności myśli, będącéj przyrodzoném prawem człowieka. Ztądby atoli całkiem przeciwny wniosek wypadł, niżeli go autor wyprowadza. Bo jeżeliby słowo wyrzeknione i słowo napisane jedno było, bo tu i tam jest tylko objaw myśli bez czynu, natenczas alboby z równém prawem trzeba ograniczyć wolność mówienia, ograniczając wolność druku; albo puścić i jedną i drugą na wolę ludzi, robiąc ich tylko odpowiedzialnymi za skutki. I tak nikt tego, co chce mówić, nie posyła naprzód do cenzora, ale za zły język odpowiada osobą i majątkiem swoim. Takby być powinno i z drukiem, i zamiast cenzury, zaprowadzonąby być powinna odpowiedzialność autora lub wydawcy.

Tego też w końcu chce pan Heinsiusz, choć trochę cenzury na polityczne dziennikarstwo zostawia (str. 69). Atoli nie uchwycił rzeczy za nerw jéj żywotni. Obrońcy cenzury powiadają bowiem: słowo ulata, ale słowo napisane lub wytłoczone zostaje, i stało się czynem; jeżeli ten czyn ma złe skutki za sobą pociągnąć, lepiéj go wstrzymać; nie można, jak to gdzieś bywało, pozwolić kraść, i dopiero wtenczas karać, kiedy złodziéj schwytany na uczynku; rzeczą mądrego rządu jest zapobiegać kradzieży, jak każdemu złemu, a nadużyciom druku zapobiega tylko cenzura. — Cały ten łańcuch fałszywych porównań i wniosków należało zaczepić i obalić autorowi. Któż kontroluje albo chciałby kontrolować wszystkie czyny i działania ludzkie, dla tego, że z nich niektóre prowadzą do występku i zbrodni? Jaką poniżoną i poniżającą postać nosiłby kraj, zamieniony przez taką kontrolę na dom poprawy, albo na ostęp celny słów i uczynków? To samo się dzieje w umysłowym świecie. Wszyscy pisarze i autorowie poddani pod cenzurę, są jak w domu poprawy, z tą ogromną jeszcze różnicą, że kiedy w skutek praw cywilnych oddawani tam bywają tylko przekonani o zbrodnie, autorów moralnie tam oddają przez samą prewencyą złego.

„Daż się to usprawiedliwić — pyta autor str. 35. — ażeby dla kilku ludzi bez czci i wiary, cały cech pisarzy, miłośników, piastunów i szerzycieli nauk, sztuk i oświaty krajowéj oddany był pod cenzurę? ażeby wolności ich myślenia nadano niepowołanych opiekunów, ukracających albo wstrzymujących polot i postęp ich myśli? a ponieważ pod karą i obostrzeniem nakazaném jest poddanie się każdego w pojęciach i wyobrażeniach swoich, pod indywidualne pojęcia i wyobrażenia drugiego; a zmuszenie takie równa się karze; — słychanaż to rzeczą w prawodawstwie krajowém, ażeby kara szła przed występkiem, a tu trafiała jeszcze najmoralniejszą, bo najoświeceńszą klassę ludzi, którzy mają za sobą opinią poczciwości i uszlachetnienia, nie występku? Tylko zbrodniarze już osądzeni i ukarani ulegają dozorowi policyjnemu, każdy zaś inny mieszkaniec kraju robi i działa bez odpowiedzialności, co mu się podoba, byle się zachował w granicach prawa. Jakiémże więc prawem ciążyć ma podejrzenie nieustające na pisarzu, który nic nie wykroczył, a raczéj całe życie swoje poświęcał naukom i umiejętnościom; uczył się, pisał i działał w interesie kraju, szkoły lub kościoła? Łatwo pojąć, że podobna instytucya dla pisarzy umiejętnie i moralnie ukształconych jest niestósowna, przykra i uciążliwa: wolność myślenia jego jest ograniczona, i objaw myśli jego od woli innéj osoby zależny.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Do Wieży Kruszwickiéj.

Stara prababo pamiętników chwały!
Maszcie wieczysty lackiego okrętu!
Co dumasz niby świadek osamiały
Na topieliskach dziejów naszych mętu:
I na kaganiec czas wziąwszy łakomy,
A powaliwszy do stóp swéj trwałości
I śmierć i wieki, i losy i gromy,
Słuchasz co mówi przeszłość do przyszłości!
Widziałaś przebóg! jako swe pieluchy
Darł naród-orzeł i rzucał swe gniazdo,
A przeznaczenia podrywany duchy
Wylatał w niebo za swobody gwiazdą.
Dziś gospodarzy mu ksieni smętarza
I pogrzebuje ostatnie pamiątki —
U stóp świętego ojczyzny ółtarza,
Chwast zapomnienia obwija już szczątki.
A ty tam stoisz jak herold, szkielecie!
Ogromna zwłoko po wiekach olbrzymach!
I czarną ciszę piastujesz na grzbiecie,
A coś tam dumasz w skrzepłych losu zimach.
Straszne Ci myśli do twarzy przymarły,
I patrzą dziko przez okna wyszczerby,
A u nóg wieki co dni już zawarły
Leżą z staremi hasłami i herby.
Ty milczysz przecie — ale gdyby z łona
Mógł głos się wyrwać dla ulgi cierpienia,
Skarga Twa długą rozpaczą karmiona,
Z jadu ulana i zemsty płomienia:
Byłaby przebóg! tak straszna i dzika,
I tak ognista, zatruta, paląca,
Że na nią w świecie dziś nie ma języka
I dusza pękłaby nam słuchająca.
Na Twoim czole usiadł orzeł biały,
Patrzy w przyszłości świat, mętny, daleki,
I znowu duma coś tam osamiały,
Aby zadziwić i ludy i wieki.

†

ŻONA I SIOSTRZENICA.

Kilka zarysów z życia potocznego.

(Dalszy ciąg.)

2. Obmowa.

»Jużem ci tyle razy mówiła, a wszystko na próżno, to już trudno do wytrzymania!... — »E, i o cóż to się gniewać moja rybko« rzekł 45letni pan Józef do swojéj ładnéj połowicy — »śp. Sebastyan mości dobrodzieju mój brat.... (Panie świeć nad duszą jego,) zostawił mi ją ot.... jeszcze tak maleńką, muszę więc wolę nieboszczyka wypełnić.« — »To ją sobie weź, gdzie ci się podoba; w kontrakcie ślubnym nie było ani wzmianki o Ludwice.« — »I cóż z tego? hm! mości dobr., ja myślałem przecież, że asinczka nie będzie się gniewać, kiedy jéj oddam do wychowania.....« — »To nie do mnie należy, już powiedziałam raz i skończyło się,« i tupła nogą, że się aż wzdrygnął stary — »to pięknie, żebym ja jeszcze miała myśleć o takiéj pannicy, i pilnować jak oka w głowie!...« — »A jak będziesz miała swoje, to co?« — »Swoje? ha, ha, ha, mój mężu — co ty mówisz? swoje dzieci? to mi się podoba; czy to się dla tego żenią, żeby mieć dzieci?« — »A no jak?« — »Żeby żyć wesoło, bawić się wspólnie, mieć w mężu obrońcę i pomoc; a dzieci.... to tylko kłopot w domu, ja myślę i Ludwikę dać gdzie, czy nie dobrze do Śgo Kazimierza? — a nie, to na wieś chyba, bo tu ani podobna jéj otrzymać; ja na to nigdy nie pozwolę — żebym miała się o to i rozwodzić z tobą....« — »No, no, uspokój się moja duszko, już ja o tém będę się starał pomyśleć....« — »Dopiero się będziesz starał myśleć,« rzekła z przekąsem Emilia — »to może jeszcze z rok zejdzie, nim zaczniesz myśleć, a mnie czas drogi, moja sława na tém cierpi — plotki, zła opinia, wstyd! taka młoda dziewczyna!...« — »Cóż to, cóż to, moje serce?« — »O tak, zapewne, niby to nie wiesz o niczém; umiesz dobrze udawać!« — »Jak cię kocham, tak mości dobr. nie wiem o niczém, pierwszy raz słyszę.« — »Ha! ha! ha! w całéj Warszawie o tém gadają, a on powiada, że nic nie wie!« Nie będę się rozszerzać, bo to wstyd nawet mówić o tém; nie wypada nic więcéj, tylko zapakować do klasztoru albo na wieś.« — »A, no, kiedy tak, m. dobr., muszę się kogo jeszcze poradzić.« — »Zapewne, gadaj wszystkim na ulicy, bo mało jeszcze o tém mówią. Nawet ani jéj nie pytać, bo i tak się zaprze, tylko kazać jechać i basta! Mój mężu, tobą lada dziecko potrafi rządzić.« — »Masz racyę, masz racyę, słusznie, słusznie — to ją mości dobr. w przyszłym miesiącu, jak pojadę do Radomia, odwiozę.« — »Nie, nie, każ wszystko przygotować i jutro w drogę, do Radomia możesz i tak pojechać, co ci to szkodzi. Tylko pamiętaj milczenie zachować i nie dawać innéj przyczyny odjazdu, tylko, że tak tobie się podobało. Rozumiesz, trzeba przecie powagę zachować, jak na stryja przystoi, nie być jak malowanym.« — »Rozumiem, rozumiem.« — »No, to dobranoc!« — »Dobranoc!« — i wyszedł do swego pokoju.

3. Dawna znajomość.

»Cóż to za jeden ów Edward, któregośmy widzieli w teatrze?« zapytać się kto może.

Ja lubo go nie znam tak blisko, opowiem jednak, com słyszał o nim od jednéj staréj panny, która z wielką skrzętnością zbiera wszelkie nowinki, zna genealogią wszystkich mieszkańców Warszawy i okolic, ich zatrudnienia, interesa domowe, wypadki choć najtajemniejsze, słowem: że to jest żyjąca encyklopedya miasta. Otóż mówiła mi ona o Edwardzie, że go rodzice odumarli w dzieciństwie, że był na opiece u jakiegoś pana Stanisława, dawnego przyjaciela ojca, że ten pan Stanisław miał jedynaczkę córkę, o kilka lat młodszą od Edwarda, wreszcie: że dzieci jak dzieci polubili się — a potém i pokochali na prawdę. Ojciec téj panienki widząc skłonności dwóch serc młodych, a nie chcąc, aby oboje sobie w dalszych naukach przerywali, wysłał Edwarda za granicę z zapewnieniem, że po powrocie dostanie Emilią za żonę, a w posagu cały majątek, składający się z dwóch wiosek i gotowizny.

Ha, pisywali i pisywali do siebie dwa lata, aż tu na raz wszystko się urwało. Panna jak doszła lat ośmnastu, jakto zaczęła po teatrach, balach, redutach szaleć, zwodzić młodzików, to i miłość dawna wywietrzała. Ojciec, lubo się martwił, nie śmiał jednak córeczce nic odmawiać, którą oddał pod szczególny dozór pani Salomei, swojéj siostry.

Pani Salomea umiała trafić do humoru kochanéj siostrzenicy. Sama dwórka, pomnąc na młode lata tak mile spędzane, nie mogła się dosyć napowiedzieć rozmaitych ślicznych rzeczy: jakie to zabawy, jakie obiady, jakto kawalerowie oświadczali pannom affekta, nieraz na klęczkach w polonezie śród grona godnych persón, jak się rąbali, siekli, i t. d. i t. d. Nie dziwota, że młoda siostrzenica brała to do serca. — Tak i stary, osiwiały weteran, lubo już broni podźwignąć nie zdoła, z radością jednak wspomina zwycięztwa w młodych latach, i nieraz najsłabsze serce chciwością sławy zapali.

Tak było i z Emilią — przecież nie mało ją to dziwiło, dla czego dziś nie tak się dzieje, jak za czasów cioci; myślała długo, śledziła badawczém okiem ducha dzisiejszych zabaw i wreszcie znalazła klucz do nich. — Jedynaczka, dziedziczka znacznego majątku — była to nie zła partya. Ubiegało się też mnóstwo wypłowiałych fanfaroników, co to na dyetce za stolikiem siedząc, grają role wielkich urzędników. Ubiegało się i kilku sąsiadów, bacznych, że wioski panny, leżące opodal, w nienajgorszym są stanie, co jest bardzo dogodném w doglądaniu gospodarstwa. Emilia jednak nad wszystkich przeniosła pana Józefa, starego kapitalistę. Jest to spekulacya: mąż stary a bogaty, są to dwie ważne korzyści, których zalotna dziewczyna nie opuści. W tém Edward przyjeżdża, ale jakaż odmiana? pan Stanisław nie żyje, siostra za nim poszła w parę miesięcy, zaziębiwszy się na balu. Emilia, ta Emilia, którą on kochał, ubóstwiał, ta Emilia była żoną innego! Zaledwie wjechał w rogatki i stanął w pierwszéj oberzy, dowiedział się o wszystkiém od jednego z przyjaciół — nie chciał się więc już widzieć z dawną swoją kochanką.

Dzisiaj Edward już nie ten tam, jak był dawniéj; zawsze smutny, zamyślony. Czy strata kochanki czy posagu tyle na niego działała, tego nie można z pewnością wyrzec; jednak ją musiał i na prawdę kochać, bo często stawał ukryty, aby ją widzieć. Przecież ona go pierwszy raz ujrzała w teatrze. Ale już Edward przywykać zaczął powoli do jéj widoku — oswoił się z temi wdziękami, na które kiedyś nie mógł bez wzruszenia patrzeć. Owszém dzisiaj obojętném spoglądając okiem, odkrywał w kochance te wady, których albo dawniéj nie miała, albo on zakochany nie mógł ich dostrzedz. Za to Ludwika zdawała się być aniołem pocieszycielem — a łzy, które spostrzegł w jéj oczach, do reszty Emilię z jego serca wyrugowały — bo Ludwika i myśl o Ludwice ożywiała go często w samotnych dumaniach.

4. Karczma.

Po zachodzie słońca równym gościńcem posuwał się pojazd. Dwie osoby siedziały obok siebie, nieme, jakby zaklęty duch usta im zamknął. Pan Józef sapał i wzdychał, kiedy niekiedy się zająknął, jakby chciał coś mówić, ale przypomniawszy sobie rozkaz żony, zakaszlnął tylko. Ludwika oparta na łokciu, przechyliwszy głowę dumała — na kolanach trzymała otworzoną książkę, a przecież czytać nie mogła, bo nawał myśli jéj cieżył, zwiesiła głowę na dłoń, a w oczach łzy błyszczały. W tém ktoś konno nadjechał — był to Edward — i równo z pojazdem postępował. Z początku milczano. Edward chciał parę razy zacząć — ale mu się myśli plątały, bo Ludwika była za blisko niego. Wreszcie pan Józef rad ze sposobności, jaka mu się nadarzyła, wyjrzał z pojazdu i zwyczajném: »Dobry wieczór« zaczepił jadącego. — »Dobry wieczór« odpowiedziano. I to jest klucz do dalszych rozmów. Są jeszcze inne, np. piękna pogoda, brzydko na dworze i t. d. i t. d., ale te się opuszczają.

»Dokąd-że pan? czy wolno zapytać?« rzekł po chwili pan Józef. — „Tak.... nie daleko ztąd.... mam interes, ale jadę z Warszawy.« — „Z Warszawy? i my ztamtąd właśnie....« — »A państwo dokąd?« — »Na wieś, w Sandomierskie.« — »Będę im towarzyszył jeszcze z parę mil.« — »O mój mości dobrodzieju« odrzekł pan Józef — »jeżeli łaska....« — »Dziękujemy za jego grzeczność,« odpowiedziała Ludwika, spojrzawszy na jadącego obok niéj. — »Owszém miłe mi będzie towarzystwo.... ale państwu czas na nocleg, bo upewniam, że nie prędko drugą karczmę się napotka.« — „Pan, mości dobr, spodziewam się, że będziesz z nami łaskaw wstąpić; mam z sobą parę buteleczek, bo to w drodze zawsze się przyda.« — Edward podziękował i wjechali do karczmy. — »Pamiętajże się znaleźć jak należy« szepnął pan Józef do ucha Ludwice, kiedy Edward oddawał konia staremu Maciejowi, woźnicy — »bo przecież....« — w tém wszedł Edward, a pan Józef uciął w najważniejszém miejscu. Ludwika się uśmiechnęła — znać, że na niepotrzebną przestrogę, bo też dziwna dawać napomnienia dziewczynie, jak ma postępować z młodym i przystojnym mężczyzną.

Goście zajęli dwie stancye w nędznéj jak zwykle karczmie. Zapalono ogień na kominku, a Maciéj przyniósł parę butelek węgrzyna. Rozmowa szła zwolna jak z początku, orzeźwiona późniéj, rosła coraz prędzéj, wymowniéj i silniéj, jak szły stopniami kieliszki. Edward pił niewiele, ale staremu dolewał często.

„No, mój mości dobr.«, rzekł czerwony jak ćwik pan Józef — »ja zajrzę do kocza, ty Ludwiko zabaw tymczasem tego pana.« — »Bardzo chętnie,« odpowiedziała dziewczyna. — »To ojciec pani?« zapytał Edward, kiedy wyszedł pan Józef. — »Nie,« rzekła z westchnieniem — „to stryj.« — „Stryj? czy żonaty?« — „Tak jest, ożenił się w przeszłym roku i to z młodą osobą — ale dla czegóż pan się pyta?« — »Bo mię pani wiele obchodzisz.« — »Ja?...« rzekła z zadziwieniem Ludwika — »nie spodziewam się, aby ktokolwiek mnie znał, a dopieroż, aby go mój los zajmował?« — „Ludwiko! kiedym cię pierwszy raz ujrzał....« — »Nie unoś się pan tak zbytnie.« — »Ja! pani?....« — „Nie inaczéj — ale przerwijmy tę rozmowę, mówmy o czém inném.«

Na te słowa, wyrzeczone tak dziwnie, nie wiedział Edward, co odpowiedzieć — wszystkie jego marzenia od saméj Warszawy kiedy ich gonił, co mu się w tak żywych wystawiały kolorach, zbladły na raz, i jakby spaliły mu się na panewce, spuścił raptem ton mowy i cichém stąpnięciem o parę kroków ku oknu się cofnął. Ludwika siedziała przy kominku, z którego dopalające się łuczywa kiedy niekiedy uderzały blaskiem o ściany i oświecały dziko malowane twarze licznie porozwieszanych obrazów. Zarumieniona spuściła oczy, a milczenie trwało chwil kilka. Co myśleli wówczas oboje?.... nie wiem — zdaje mi się jednak, że Edward żałował, iż ją widział w teatrze i teraz gonił konno — może i żałował, że nie jest przy Emilii; jéj mąż w drodze — ona może jeszcze nie zapomniała o dawnym towarzyszu dzieciństwa, może go kocha, możeby go pieszczotami w téj chwili darzyła.

I Ludwika żałowała pewnie, że zanadto zraziła Edwarda — jednak spoglądała na niego ukradkiem, rada, że takie wrażenie umiała sprawiać.

„Piękny wieczór« przerwał Edward, spojrzawszy w okno — »najprzyjemniejsza przechadzka o téj porze.« — »O! i ja lubię chwile wieczorne, teraz będę mogła swobodnie ich na wsi używać« odpowiedziała Ludwika. — „Pani na wieś jedzie?« — »Tak jest.« — »Czy do rodziców?« — »Ja już nie mam ani ojca, ani matki, nikogo prócz stryja« i westchnęła. — »I dla czegoż pani odjeżdżasz, kiedy stryj mieszka w Warszawie; jeszcze na zimę — przecież towarzystwa, zabawy rozrywają myśli....« — „Towarzystwa?! o, te rzadko dobrane, zbyt często zatruwają spokojność — zabaw nie lubię, dla mnie milsze zacisze domowe.« — »A jednak pani w teatrze bywałaś....« — „Tak.... czasami z żoną stryja mojego« — i łzy jéj w oczach stanęły, przypomniawszy sobie przykrości, jakie od niéj znosiła. — »Cóż tobie pani?« zapytał Edward, biorąc jéj dłoń w swoje ręce. — »Nic,« odpowiedziała — »to wspomnienia, co się czasami przykro odezwą, alem teraz zupełnie spokojna.« — »Ludwiko! powiedz, co znaczyły te łzy wczoraj w teatrze?« — »Cóż pana to obchodzi?« — »Mnie?« rzekł Edward — »mnie Ludwiko? o, te łzy, przysięgam ci, że mię jakoś dziwnie ku tobie pociągnęły; odtąd postanowiłem wszelkich usilności dołożyć, żeby ci uprzyjemnić życie — wiedziałem, żeś wyjechała, i udałem się za tobą, aby przynajmniéj wiedzieć o miejscu twego pobytu.« — »Czy podobna?!« — »Tak, mój aniele; ty będziesz jedyną.....« — „Panie!« przerwała Ludwika porywając się z stołka, gdy Edward ukląkł i ucałował jéj ręce.

W tém za drzwiami dał się słyszeć głos pana Józefa, wracającego na spoczynek, a Edward odskoczył i usiadł przy oknie.

„Mój mości dobr., już pan nie pojedziesz zapewne, trochę późno — proszę do mnie jutro na podróżne śniadanie.«

5. Przyjaźń i miłość.

Nazajutrz Edward na prośby pana Józefa przyznawszy się, że nie za bardzo pilnym interesem jechał, przyrzekł odprowadzić go do miejsca. Siedział obok Ludwiki, o niéj tylko myślał — często téż na zapytania stryja odpowiadał siostrzenicy; a lubo częściéj od niéj uśmiech zamiast słów odbierał, jednak przez całą drogę był bardzo szczęśliwym.

Jakże mało człowiekowi potrzeba! Jeden uśmiech kobiety, jedno jéj spojrzenie — a będziesz miał z najzdrowszego człowieka szaleńca! Ale wróćmy do rzeczy:

Nazajutrz stanęli u celu. Pan Józef, już nieodstępny przyjaciel Edwarda, nie chciał go ani na chwilę puścić od siebie. Upłynęło parę tygodni, a nikomu się nie nudziło. Pan Józef zapomniał o interesie w Radomiu, Edward zapomniał o powrocie do Warszawy — a Ludwika? Ludwika nie przypominała żadnemu, bo rozmowy z Edwardem były przyjemne, miłe, bo czas z nim przepędzany bardzo krótkim jéj się zdawał. Pan Józef to uważał, ale milczał. Wreszcie pewnego dnia rzekł do Edwarda: »Mój przyjacielu, żal mi cię opuszczać, to prawda, ale mam mości dobr. ważne zatrudnienia, które mię powołują — nie chciałbyś mi towarzyszyć? hę? co?« — »Z największą chęcią, ale....« — »No, bez ogródki mój mości dobr., ja wpana nie przymuszam; jeśli nie możesz, to powiedz otwarcie.« — »Tak — zatrudnienia mię wzywają do domu.« — »A! zatrudnienia!?« rzekł z uśmiechem — »ja myślałem, że wpanu mości dobr. żal odjechać Ludwiki, bo widzę, że tam coś między wami ma się ku kochaniu; nie prawdaż? hę?«

Ludwika się zapłoniła i wybiegła szybko do ogrodu, Edward nie wiedział, co odpowiedzieć.

»Widzisz wpan, mój kochany Edwardzie, że ja z największą chęcią radbym mości dobr. o was pomyśleć, kiedy macie ku sobie wzajemne affekta..... bo zwyczajnie, wiem, jak się to dzieci kochają. I ja mości dobr., kochałem się za młodu, a moja śp. narzeczona kiedy poszła za innego, płakałem, chciałem się topić, Bóg wie, co się wtenczas nie działo z człowiekiem, raz mię już z wody wyciągnięto na wpół żywego. Prawda, że wszystko przeszło i ja żyję, ale szczęście moje razem z nią mię opuściło. Edwardzie, może ja za zbyt zaufania pokładam w tobie, przecież ci powiem szczerze: Ludwika to moja córka! Ty pierwszy odemnie słyszysz o tém; ona sama nie wie, że stryj jest jéj ojcem, a nie stryjem. Jéj twarz to obraz mojéj nieboszczki Zosi! też same rysy, ta postać! jak ja ją kochałem!...... Ożeniłem się niedawno, chciałbym i Ludwikę wydać za mąż, aby oddalić od siebie pamięć nawet przeszłości. I zdaje mi się, że kocham równie żonę, jak kochałem moję Zofią. Ale przestańmy o tém mówić....« Panu Józefowi łzy pokazały się w oczach, a Edward stał jak kamień na miejscu. Wreszcie postąpił ku niemu, rzucił się w jego objęcia i zawołał: „Ojcze! oddaj mi Ludwikę za żonę.“ — »Dobrze, jeżeli ona zechce, ja nie mam nic przeciw temu, ale mości dobr. nie mogę was samych zostawić tutaj. Tyś mężczyzna, to dla dziewczyny być sam na sam niebezpiecznie. Są różne okoliczności, nie trzeba ci mówić..... Ludwika tego dowodem...... Jutro wyjeżdżam do Radomia. Ty albo jedź ze mną, albo do Warszawy — tu zostać nie możesz.« — »Pojadę do siebie.« — »Za kilkanaście dni powrócę, możesz tu przybyć. Dam ci list do żony, nie pisałem, jakem wyjechał, może ona tęskni.... i ustnie ją pozdrów odemnie.« — Edward się zmięszał, nie chciałby już widzieć Emilii, trudno jednak nie przyjąć zlecenia.

Temi myślami zajęty wyszedł do ogrodu — w ogrodzie była Ludwika. Zbliżył się do niéj, wziął ją za rękę, przechadzali się długo, rozmawiali tylko o sobie, bo tylko sobą zajęci. Edward opowiedział jéj wszystko, co mówił pan Józef, wyjąwszy o jéj urodzeniu; Ludwika się płoniła, przecież z wewnętrznem zadowoleniem słuchała. »Ludwiko! siądźmy tu w altanie, tu spokojnie będziem mogli rozmawiać. Dziś tylko, jutro już wyjeżdżam — dziś jeszcze wolno nam rozmawiać!« — Dziewczyna nic nie odpowiedziała, jednak jéj uśmiech był dostatecznym do jéj zrozumienia. Dla Edwarda było to za mało. Uchwycił ją za rękę, długo milczał — milczała i ona..... jednak to milczenie było tak wymowne, jak najwięcéj zajmująca rozmowa. Wreszcie ukląkł przed nią i zapytał: »Będziesz-że mi wzajemną?...« — »Dla czegoż nie!...« odpowiedziała z uśmiechem. Tu Edward nie będąc już panem samego siebie, objął ją w pół, i ogniste pocałowanie na jéj ustach złożył.

Kiedy tak trzymał kochankę w objęciach, nie spostrzegł, jak pan Józef stanął przed nimi. — »Ho! ho! ho! moje dzieci, to wy się już widzę i całujecie! to nie żarty, muszę o was pomyśleć. Widzisz wpan Edwardzie, że ja cię nie mogę tu samego zostawić — przy mnie, a takie się rzeczy dzieją, a cóżby to było daléj? hę? dopiero com mówił, oj wy młodzi!« — i odszedł grożąc palcem.

6. Posądzenie.

»Moja córko!« rzekł pan Józef do siostrzenicy (tak ją zwykł zwać, gdy był w dobrym humorze) — »czasby było pomyśleć o mężu, bo to różne są oko-

liczności, które mi każą tę rzecz przyspieszyć.“ — „Jakto?“ zapytała zdziwiona Ludwika. — „Hm, mościa panno, cóż się tam pytasz? widzisz, bo to ludzkie języki to i na sławę cudzą się szarpią, a to bezpieczniéj zamężnéj, niż panience.“ — „Istotnie, ja nie rozumiem stryjaszka.“ — „A cóż ja temu winien, że mię niechcesz rozumieć; ale mniejsza o to — jakże ci się zdaje ten Edward, ujdzie, nie prawdaż?“ — „Cóż stryjaszek żąda odemnie? pocóż to zapytanie?“ — „O! moja panienko, ja i kręcę i kręcę nie chcąc ci otwarcie mówić, a ty mię widzę nie chcesz rozumieć, no to ci powiem; oto tak: Moja żona powiadała mi — tylko moje serce nie urażaj się, ja temu nie mogę zupełnie wierzyć...“ „Cóż takiego?“ rzekła przelękniona dziewczyna. — „E, bo to widzisz, powiadała mi, to jest.... że.... i bo to tam, jak to ludzie.... zwyczajnie obmówili cię, jakobyś tam.... różne miłostki skryte miewała....“ — „Czy być może? o ja nieszczęśliwa!“ — „Nie martw się moje dziecię; ja temu nie uwierzyłem, to tylko tak zwyczajnie....“ — i pocałował ją w czoło — „no, no, uspokój się, ja żartowałem!“ — „O, nie, mój stryju! tyś nie żartował, tobie musiano tak istotnie mówić! ja sierota! nie mam ani ojca, ani matki! całym majątkiem moim dobre imie! i to mi jeszcze wydarto!.... A ty, ty stryju, któryś mi jeden tylko pozostał, ty mię potępiasz! Któż mię dziś wesprze!?“ i załamała ręce i rzewnie zaczęła płakać.

Stary nie wiedział co robić, klął, latał po pokoju, wołał: „oszukano mię! tyś niewinna! przebacz! przebacz!“

Ludwika już była u nóg jego, on ją podniósł, przytulił do serca, zawołał: „o moja córko!“ łzy mu się z oczu puściły i jeszcze raz wyjąkał: „tyś niewinna!“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wystawa obrazów w Poznaniu. *)

Płacząca dziewczyna.

(Porówn. Nr. 28. Tyg. lit.)

Obraz malowany przez p. Schiovani na wystawie poznańskiéj 1841. *r.*

Pominąwszy wszystkie inne obrazy wystawy poznańskiéj, godne zastanowienia, jako to: śmierć Lorda Percy, bitwa pod Mozajskiem i t. d., znajdziesz tam obraz niewielki, niedość od widzów, o ilem uważał, ceniony, w złém świetle nawet wiszący, lecz zastanawiający każdego, co z znajomością sztuki żywe uczucie i prawdziwą wyobraźnią piękności łączy. Owa płacząca dziewczyna pełna uroku przyciągającego, wiążącego do niéj, okazuje w dostojném obliczu, jakąś niepewność, oczekiwanie, niespokojność, bo ta łza tak nadobnie przybierająca jéj postać, nie jest łzą boleści. Opuszczona na świecie, widać, że tylko w tym żyje, którego oczekuje, żeby rada tém samém powietrzem co i on oddychać, spocząć i odetchnąć błogo na jego łonie, a łza oschnie w jego uścisnieniu. Lecz ten kochanek musi być coś wyższego nad innych ludzi, bo po jéj czole widać, że nad wzniosłym duma. Zdaje się, że gdyby z ram swoich wystąpiła, tajemniczém życiem ożywiona, wszystkoby jéj hołdowało co ją otacza. Ów król zrzuciwszy koronę, uchyliłby korne czoło, boby w niéj ujrzał więcéj niż swoje królestwo, większy, okazalszy majestat; młoda sierota pobiegłaby do niéj i nazwałaby ją matką; nawet mnich ów zdziczały zrzuciłby kaptur, a grzech jego byłby mu może darowany, chyba tylko piękne włoszki, mściwe, z zazdrośném okiem skryłyby się upokorzone. Włos jéj czarny, jedwabny, z wdziękiem i opuszczeniem *(dans un charmant négligé)* spadający, zdaje się być tym samym, którym Atala ranę Chaktasa zawiązywała, a chociaż może bliżéj się przypatrzywszy najmniéj dobrze z całości oddany, bynajmniéj przyjemności i wyrazu twarzy nie odbiera ....

....

W téj chwili, gdy najbardziéj byłem zatopiony w zachwyceniu, rozbieraniu i nicowaniu jéj powabów, prosili mnie, żebym się oddalił, bo godzina zamknięcia galeryi nadeszła. Z tego wcale się nie gniewałem, bo byłbym się na dobre zakochał, coby mi może pewna osoba za złe wzięła.

M...

*) Artykuł ten kończy umieszczony w Nrach 27. — 30go artykuł o wystawie obrazów w Poznaniu ze względu, iż wystawa obecnie już zamkniętą została. *Przyp. Red. Tyg.*

Doniesienia literackie.

Zbiór wierszy przez Józefa Lompę.

Każde dzieło polskie już jako polskie szczerze obchodzić nas powinno, tém więc silniéj jeszcze, gdy do zjawienia się jego, łączy się jeszcze interes żywszy. Pan Józef Lompa, nauczyciel elementarny w górnym Szląsku, wydał zeszyt swych wierszy w Opolu, wynoszący 52 stronnic w dość poprawném a nawet pięknéem wydaniu. Są to, oprócz małéj bardzo liczby rymów oryginalnych same przekłady, z poetów niemieckich, najwięcéj z Mathissona. Kto szuka jedynie poezyi lub przynajmniéj pięknie toczonych wierszy, ten z uśmie-

chem litości spojrzy może na to dziełko. Wiersz pana Lompy dalekim jest od obecnego u nas wykształcenia, miarą nawet często bardzo grzeszący i ztąd za niegodny uwagi przez wielu poczytanym będzie zapewne. — Nie takiém jest moje zdanie. Z silniejszém czuciem radości, niż wiele pism lepszych, powitałem tę książeczkę, bom w niéj uczuł woń zacierającego się zdawna pobratymstwa, bom w niéj znalazł kilka najstarszych mowy naszéj wyrazów w pierwotnéj jeszcze czerstwości u tamecznego ludu przechowanych, i bo nakoniec widzę, że wysłowienie się tamecznego pisarza, gdyby tylko cokolwiek miał więcéj zdolności, żadną wielką zmianą nie odbijałoby od wyrażania się naszego. Przekonałem się oprócz tego z przedmowy autora, że lud górno-szląski potrzebuje i czuje potrzebę pism, macierzystą jego mową drukowanych, duchowieństwo nawet gorąco życzy tego, dla odwiedzenia tegoż ludu od złych nałogów, które w dnie niedzielne niestety najbardziéj się u niego rozwijają. Odpowiadając téj potrzebie i życzeniom, przełożył już pan Lompa na polskie Starego Nettelbecka i wszystkie pisma autora Jajek wielkanocnych. Brak tylko funduszów wstrzymuje go dotąd od ogłoszenia ich drukiem. Są przecież i inne powody utrudzające wyższy polot opolskiego wieszcza. Pomijam brak Mecenasa, na który się użala, ale któżby mniemał kiedy, aby pobity wszędzie klassycyzm do górnego Szląska jako do ostatniéj cofnął się baszty, i tam jeszcze z dawną zuchwałością burmistrzował! Długie i gorzkie są w téj mierze wyrzekania pana Lompy. Zdaje się, iż wszyscy górno-szląscy bakałarze, na dawnym jeszcze siedzący trójnogu, nie dadzą koledze swemu wychodzić z świata Plutonów, Cerer, Boreaszów, Auror i Febusów. Mówi on:

Trzeba być biegłym w Mitologii
Wierszopisowi, bardziéj niż w Biblii.
Chcąc chwalić szląską pannę, wdowę, żonę,
Trzeba w niéj uznać prawdziwą Junonę,

inaczéj bowiem rzekną, że się gminnie tłómaczysz i nie jesteś poetą.

Lecz co nas najbardziéj zajęło w tém dziełku, jest to wstęp oryginalny autora do przekładu wiersza Klopstocka pod tytułem Zdrowie. Wstęp ten jest następujący:

Ojciec Polskiéj Poezyi, mąż stały
Kochanowski, godny świętéj pamięci,
Dał ci słusznie należne pochwały, *)
Niechże więc i moje pióro cię święci.
Co w swych wierszach Klopstock o tobie śpiewał,
To ja, jak moje zdolne siły
Tłómaczeniem mojém będę przelewał
Na ojczysty język, z serca mi miły.

Dziwną jest rzeczą, że tylu mieszkańców tamecznych stron, przechodzi przez wszystkie stopnie wykształcenia, wielu z nich nawet w rzędzie znakomitych mieści się pisarzy, tak mało przecież dotąd śladów widzimy ich starania o podniesienie w oświacie tamecznego ludu wiejskiego, i to pod rządem najliberalniejszym w téj mierze. Nie dość jest szkołki wiejskie posiadać, nie liczba umiejących czytać, ale czytających ciągle i dobre rzeczy czytających, stanowi ludność oświeceńszą. Lecz na to trzeba dzieł pisanych w tym języku, z którego pierwotnie, rodzinne czerpało się cnoty, prawidła życia, którym pierwsze i najtkliwsze wylewano uczucia, i w którym przez wszystkie lata dzieciństwa, młodości, w wszystkich troskach i niedolach do swego przemawiano Boga! Takiém ziarnem trzeba osiewać niwę, jakie ona z natury swojéj najlepiéj rodzi, i taką mową się odzywać, która najsilniéj odbija się w duszy. *D.........y.*

*) Alluzya do tych wierszy Kochanowskiego:

Szacowne Zdrowie,
Nikt się nie dowie,
Ile smakujesz,
Aż się zepsujesz.

Wychodzące u Brockhausa dzieło: »Conversations-Lexicon der Gegenwart« zbliżyło się ukończeniu swemu. Artykuły tyczące się historyi i literatury polskiéj są po większéj części dobrze napisane, niektóre jednak bez znajomości rzeczy, i tak naprzykład Józef Kalasanty Szaniawski nazwany jest człowiekiem z charakterem szlachetnym. Redakcya nie powinnaby nosić za godło słów Szekspira, że chce cnocie jéj właściwe rysy, hańbie jéj własny obraz, a wiekowi i duchowi czasu, odblask jego istoty ukazać.

W księgarni J. K. Żupańskiego wyszły w tych dniach: »Medytacye panny Dziubińskiéj.« Jest to dalszy ciąg pisemka, o którém w Nr. 28. donieśliśmy, lecz bez porównania słabszy.

Oprócz dzieła Lamennego »*du passé et de l'avenir des peuples*« w literaturze francuzkiéj, zwracamy uwagę na dzieło Paulin: »*Scènes de la vie privée des animaux.*« Dzieło to wychodzące peryodycznie a ozdobione rycinami Grandvilla, należy do najbardziéj zajmujących, które w humorystycznéj szacie wyśmiewają obecny stan polityczny Francyi. Georges Sand, którą wkrótce do naszych współpracowników policzyć będziem mogli, napisała do pisma tego: »Wróbel paryski idzie na zwiady najlepszego urządzenia rządu.« Charles Nodier, jak gazeta augsburgska donosi, pisze w téj chwili dla tegoż pisma »lis w łapce.« Oprócz tego, Janin przyrzekł być ciągłym współpracownikiem.

Zbiór obrazów składający się z 35ciu starych oryginałów, jest do sprzedania za 4000 talarów. Redakcya proszoną została, zwrócić uwagę swych czytelników na zbiór ten. Czyni to chętnie, ponieważ z nadesłanego jéj spisu uważa, iż ceny bardzo nisko są postawione. I tak n. p. Amor Raphaela Mengsa kosztuje 50 talarów — Zenobia Guido-Reniego 60 tal. — Bliższą wiadomość udzieli redakcya.

Nasz »Orędownik« żywi się ciągle wraz z »Przyjacielem ludu« przedrukami z »Trzeciego Maja« i »Dziennika narodowego«; umieszcza szumnie jako oryginalne swe artykuły *Prelekcye Mickiewicza, Nekrologi Niemcewicza* i t. d. — Ktoś dziwił się, że »Dziennik narodowy« i »Trzeci Maj« nie upomina się o przedruk swych artykułów. Nic w tém dziwnego — wszakżeż kruk krukowi oka nie wydziubie!

Rozmaitości.

Jedno z pism naszych braterskich między swemi baraszkami umieściło w najnowszym numerze następne: »Gniewają się na Mickiewicza za jakieś tam brednie o Polsce i ojczyznie. Zapomnieli, że poecie wszystko wolno!«

W jednym zakładzie zbierano składkę na pismo »Nowa Polska.« Pewien wiarus rzekł: »A to łotry! starą Polskę przepili, a na nową się składają.«

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*